



ADAM WOLAŃSKI



LOSY REGALJÓW POLSKICH



KRAKÓW 1921

SKŁAD GŁÓWNY W KANCELARJI MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE.

ADAM WOLAŃSKI



LOSY REGALJÓW POLSKICH



Kolekcja
Emila Kornasia

KRAKÓW 1921

SKŁAD GŁÓWNY W KANCELARJI MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE.

ODBITKA Z „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“



CM KER

317074

DR J. W. L. ANCZYCA I SPÓDKI W KRAKOWIE.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 45 /2012/ CM



W początkach lipca b. r., gdy armje nasze cofały się z odległych kresów coraz bardziej w głąb Polski, a w ślad za niemi napierała groźnie wezbrana fala bolszewizmu, zmieniając kraj w pustynię, zelektryzowały ogół artykuły prasy o znalezieniu jakoby regaljów we Włodzimierzu — zelektryzowały mimo troski gnębiącej o niepewne jutro i o sam byt państwa, mimo zatracanej ciągle wrażliwości pod nawałem klęsk rozlicznych. I nie dziwne, chodziło bowiem o najdroższe dla polskiego serca pamiątki po tylu królach, o świadki tylu wieków minionej chwały i zasług. Ciemna ta sprawa coraz się więcej w mrokach pograża, a zasługuje na gruntowne zbadanie. W tym celu dobrze sobie przypomnieć losy regaljów, ich zniknięcie u schyłku w. XVIII w sposób tajemniczy i głuche wieści o ich dalszych kolejach — dobrze te rozproszone wieści, niepewne, mętne, chaotyczne, zebrać dla wydobycia więcej światła i skupić jakby rozbiegłe promienie w ognisku.

Otóż nie posiadaliśmy nigdy cenniejszych relikwii narodowych nad korony, spoczywające na skroniach niemal wszystkich królów z kolei, zaczawszy od Łokietka. Do stroju władcy, zasiadającego na majestacie po rytualnym akcie koronacji, należało berło, potem jabłko i krótki mieczyk bolesławowski, zwany w mowie potocznej szczyrbcem Chrobrego — w lustracjach Śmiałego. W głębokiem średniowieczu oznakę władzy stanowiła także włócznia po Ś. Maurycem z dodaną chorągwią — z nią też lub bez niej przedstawiano książąt piastowskich na monetach i pieczę

ciach za Krzywoustego i w czasie podziałów. Tę włócznię, wzorowaną na oryginalnie z regaljów cesarza niemieckich, złożonym dzisiaj w skarbcu wiedeńskim, Chrobry w r. 1000 otrzymał w Gnieźnie z rąk Ottona III i potem, przytwierdzona do tronu biskupów krakowskich, zachowała się dotąd w katedrze jako jedyna pamiątka po założycielu potęgi polskiej.

Z biegiem lat około insygnjów koronacyjnych tworzył się skarbiec, zrazu panującego, później koronny, przytem prywatny dwóch ostatnich Jagiellonów, aż z czasem złączyły się w jeden jako własność państwa. Na dziejach skarbcza odbiły się dzieje narodu w złych i dobrych chwilach. Za złotego okresu obu Zygmunatów, gdy Polska stała u zenitu potęgi, skarbiec mieścił niezmierną ilość przedmiotów bajecznej wartości — zdumiewał przybyszów zachodu ogromem niewidzianych bogactw i wyrafinowanym artystycznym wykończeniem. Z zachwytem pisali o nim nuncjusze w urzędowych sprawozdaniach, jak Bongiovani w r. 1560, Ruggieri w 1565. Zygmunt August, humanista aż do szpiku kości, dzielił ówczesne upodobania w kosztownych klejnotach i wytwornym kształcie wszystkiego, co go otaczało. Wydawał na to niezmierne sumy i niezmierne nagromadził skarby materialne i artystyczne. Potem — przeminęły słoneczne dni potęgi — przyszły mroki rozkładu i w kataklizmowych czasach Jana Kazimierza skarbiec marniał coraz bardziej, aż za króla Jana kolosalnemu uległ roztrwonieniu. Za Wettinów saskich i Stanisława Augusta, prócz koron, zawierał już tylko znikome resztki, nie dające wyobrażenia o minionej świetności.

Ostatni raz go lustrowano u schyłku sejmu czteroletniego. Wyznaczeni do tej czynności, Tadeusz Czacki starosta nowogrodzki i Jan Nepomucen Horain wojewodzie brzesko-litewski, oglądali te szczątki 18. IV. 1792 wobec kustosza Sierakowskiego, wybitniejszych duchownych, mieszczan i wojskowych miejscowej załogi. Spisano dokument, nie przeczuwając, iż to ostatni akt pożegnania (że użyję słów Niemcewicza), i skarbiec zamknięto trzema dniami później (21. IV.). Wtedy już horyzont polityczny zaciągały czarne chmury — wkrótce rozpętała się krótkka, ale przelomowa, trzymiesięczna wojna z Rosją, po niej Targowica została nam ułudny i rozwiewny cień niepodległości, aż po rozpaczonym porywie Kościuszki runęło wszystko w otchłań zniszczenia i w długą, straszną noc porozbiorową.

W małym kółku ludzi, widzących, że się już wszystko rwie, łamie, zapada, powstała myśl ratowania narodowych świętości — myśl uniesienia z palącej się Troi polskiego palladium — myśl tajnego wywiezienia regaljów. Za dni przeszłości zdarzały się nieraz chwile niebezpieczne i nieraz już insygnja, wydobyte ze skarbcza prawnie lub nieprawnie, wędrowały spoczywać w ukryciu. W normalnych czasach i warunkach dostęp do nich był trudny, bo wymagano legalnego upoważnienia do otwarcia drzwi, za którymi w trzech komnatach zamku przechowywano »Thesaurus regni« (na dole od strony Kurzej Stopy) — a prócz podskarbiego, potem kustosza, jeszcze siedmiu senatorów według prawa posiadało klucze, każdy oddzielnie od jednego z siedmiu kunsztownych zamków — lecz pałaca potrzeba łamała nieraz przepisy i formalności. I tak w r. 1697, gdy przyszło koronować Augusta II, a senatorowie od skarbcza stali przeważnie po stronie francuskiego elekta, poradzono sobie w ten sposób, że dwóch przeorów (Bernardynów czerwieńskich, Wyżycki sekretarz w. kor., i Benedyktynów świętokrzyskich, Wyhowski) wynieśli insygnja wyłomem w murze, nie ruszając zamków i pieczęci. Za Jana Kazimierza Jerzy Lubomirski, w obawie przed łupieżstwem Szwedów, uwiózł na Spisz korony i przechował w warownej Lubowli. W początkach XVIII stulecia, gdy się rozpałała wojna północna i Szwedzi szli niepowstrzymanie na starą Piastowską stolicę, należało znowu ratować skarbiec i Stanisław Szembek wówczas biskup kujawski, a prymas późniejszy, ukrył insygnja w śląskiej Opawie (w r. 1702). Tym razem korony leżały tam długo i dopiero w r. 1730 wróciły na Wawel. W parę lat potem zaszła rozdwojona elekcja i wypadki 1733 r. Podskarbi w., Franciszek Maksymiljan Ossoliński, zabrał regalja dla Leszczyńskiego, a August III musiał sprawić nowe korony u złotnika we Wrocławiu i te dzisiaj znajdują się w Dreźnie — polskie zaś na Jasnej Górze przebywały w ukryciu półtrzecia roku (do 1736).

Nie zawsze tedy regalja leżały spokojnie pod sklepieniem Wawelu, skarbiec zaś od lat bardzo już dawnych zatracił swój klejnot najcenniejszy — pierwotną koronę Chrobrego. Wielki król sam ją sporządził i użył do aktu namaszczenia 25. XII. 1024 r., poczem raz tylko jeden służyła do obrzędu kościelnego w roku następnym Mieszkowi II. Wkrótce rozpętał się u nas straszny orkan dziejowy, a burza polityczna i społeczna z reakcją pogań-

stwa zmiotła tron, ołtarz, nowe urzędnia — wszystko padło rozbite. Richeza, wygnana z kraju, uniósłszy mężowskie i swoje regalja, oddaje je w Saksonji Konradowi II w 1036 — czy może pięcioma laty wcześniej uczynił to Bezprym, jak chce badacz doby ostatniej na podstawie luźnej wzmianki ówczesnego kronikarza. Kazimierz Odnowiciel wrócił do ojcowizny jako lennik cesarstwa, z niemieckim hufcem posiłkowym, zobowiązany do hołdu, pieniężnego haraczu i daniny w zbrojnych pocztach. Stosunki gruntownie zmieniły się na gorsze i o jego koronacji niema śladu we współczesnych źródłach, tylko mętne i bałamutne podania późniejsze. Zresztą stała się wówczas niemożliwością.

W średniowieczu osiągnięcie godności królewskiej nie było tak łatwym. Spełnienie rytualnego obrzędu koronacji uświęconym djademem wymagało zespołu wielu warunków — więc jawnej lub tajnej zgody papieża, posiadania w obrębie granic państwowych niezależnej prowincji kościelnej, zatem podległego tylko Rzymowi arcybiskupa z szeregiem więcej lub mniej licznych podwładnych biskupów, słowem odrębnej całkiem metropolji, wreszcie dostatecznej siły państwowej, by nakazać dla siebie szacunek u swoich i obcych. Z koronacją bowiem ustawało wszelkie lenno cesarza, osiągnano pełną niezawisłość. Królestwo było zatem wynikiem zorganizowanej siły państwowej i nawzajem tę siłę utrzymywały, bo monarchja jako taka wykluczała możność podziałów dynastycznych, a te znowu nieraz potęgę kraju rozpylały jakby na atomy drobniotkich księstewek. Korona przytem nie stanowiła tylko prostej przepaski na czole, będącej godłem dostojności monarcharszej, lecz posiadała znaczenie symboliczne o wiele głębsze. W oczach króla i ludów uchodząc wtedy niemal za świętość niemal na równi z relikwjami — uosabiała ideę państwowości z jednej strony, z drugiej zaś, wieńcząc głowę panującego wśród całej pompy obrzędowej i przepychu rytualnego kultu, nadawała pomazańcowi jakby charakter kapłańskiego święcenia¹⁾. Uprzymiarniając sobie ówczesne stosunki i pojęcia, trudno wierzyć bajkom kronikarzy, jakoby w r. 1038 Konrad II zwrócił dobrowolnie Kazimierzowi insygnja Chrobrego, lub, gdy Bezprym w czasie swego buntu koronę brata odesłał do Niemiec w 1031 r., jakoby Mieszko II już w roku następnym potrafił ją napowrót wydostać

¹⁾ Obszerniej o tem w szkicach z XI w. Tadeusza Wojciechowskiego.

z Merseburga. Polityka Niemiec dążyła stale do wspierania to Czech, to Polski, byle tylko te kraje wzajemnie niszczyły swe siły i zasoby, a górował wpływ cesarza; koronacje też naszych królów godziły w żywotne interesy Niemiec i tamtejsi kronikarze, nadmieniając o nich, zawsze tracą krew zimną i w słowach niewybrednych dają wyraz swemu oburzeniu. O przypadłej dla nas koronie Chrobrego nadmieniam obszerniej, bo z owych czasów zachowała się cesarska, z imieniem Konrada na dodanym pałaku, łączącym tył diadem z krzyżem u czoła. Służyła ona stale aż do r. 1806 późniejszym cesarzom do kościelnego obrzędu, a dziś leży w Burgu wiedeńskim jako wyjęta niby z grobu Karola W. w Akwizgranie. Na jednej z klamer widnieje tam Zbawiciel, w bizantyńskim stylu pojęty i na tronie siedzący, z napisem u góry: »Per me reges regnant«, co dowodzi, że koronę robiono dla króla, a nie dla cesarza, któremu by duchowni inny wypisali werset z Pisma świętego. Istnieje co do niej rzucona od niechcenia ciekawa hipoteza prof. Franciszka Bocka, że to może djadem Chrobrego, oddany przez Richezę¹⁾.

Upływały lata, aż w końcu Bolesław Śmiały w lot uchwycił i wyzyskał chwilę sposobną i, wznowiwszy wielką myśl Chrobrego, wskrzesił królestwo uroczystym aktem koronacji w rocznicę namaszczenia swego pradiada, 25. XII. 1076, poczem nowe regalja złożono jako depozyt w skarbcu katedry krakowskiej pod opieką duchowieństwa. Na monetach współczesnych doniosłemu zdarzeniu występuje Śmiały ze szczerbcem w ręku i koroną na głowie, dziwnie kształtem przypominającą diadem Karola W. w Burgu. Niemcy zawrzały nietajonym gniewem i zemstą, a drogą tajemnych knowań, przy pomocy czeskiego Wratysława i buntu Hermana, wygnawszy Śmiałego z kraju, już po trzech latach wywróciły monarchję. Kraków dostał się Czechom, a duchowieństwo katedralne ukryło korony w swych murach Wawelu. Czekwały tam one przeszło dwa stulecia, aż je Przemko wielkopolski na jaw wy dobył i przewiózł do Gniezna w r. 1290, by uwieńczyć dzieło skupienia okrojonych dzierżaw Chrobrego po długim rozbiciu na słabe księstewka. W Gnieźnie 26. VI. 1295 korony spoczęły na głowie Przemysława i jego żony Małgorzaty brandenburskiej.

¹⁾ Die Kleinodien des heil. römischen Reiches deutscher Nation nebst Kroninsignien Böhmens, Ungarns und der Lombardei. Wien 1864, str. 143.

Niezawisłe królestwo i purpura tronu znowu z gruzów powstały, ale już w następnym roku (8. II. 1296) nowy monarcha pada w Rogoźnie pod skrytobójczym ciosem margrabiów brandenburskich, a w 1300 w murach tejże katedry koronuje się Wacław czeski, ale — jako lennik Niemiec. Niema wieści żadnej, co się potem stało z regaljami — prędzej może Wacław uwiózł je do Pragi i stopił na złoto, niż uczynił to Henryk śląski w swoim Głogowie.

Łokietek przywdziewa uroczyscie 20. I. 1320 insygnja królewskie w katedrze wawelskiej i przy tym akcie pierwszy przepasuje się szczyrbem. Ale to insygnja świeżo sprządzone, w stylu owych czasów, więc je upiększa ulubiony motyw XIV stulecia — kwiat rozwinięty lilji florenckiej. W niedługim czasie koronę Łokietka opromieniła przyrosła do niej tradycja Chrobrego — odtąd z nimbem tej legendy, jako korona główna pod nazwą »privilegiata seu originalis regni«, służyła już niemal stale do późniejszych namaszczeń królów i przetrwała na Wawelu do ostatniej lustracji, czasowo tylko ukrywana przed wrogami.

Skarbiec zawierał jeszcze cztery korony z liczby niegdyś istniejących. Może Chrobry, sporządzając diadem dla siebie, sporządził drugi dla królowej Ody, margrabiarki miśnijskiej, może to uczynił dopiero Mieszko II, dość że i ten także Richeza wywiozła z kraju, ale Konrad II zostawił go przy niej. Na te względy wpłynęły, prócz stosunku pokrewieństwa, jeszcze duże znaczenie i liczne dobra, jakie Richeza jako palatynówna lotaryńska posiadała w Niemczech. Mimo, że po r. 1047 przywdziewa w Brunwillarze habit zakonny Ś. Benedykta, do końca jednak życia używa tytułu królowej i tak ją mianuje nawet Henryk III, usposobiony wrogo dla Polski i dla jej monarchicznych zachcianek. Gdy Richeza 21. III. 1063 zesła ze świata, koronę jej włożony do grobu, a Annon, arcybiskup koloński, złożył zwłoki w kolońskiej fundacji Richezy, u Panny Marji ad gradus w Kolonji. Z kolei czasów rozebrano ten kościół w 1816 r. i kości królowej, przeniesione do chóru katedry kolońskiej, spoczęły w kaplicy Ś. Michała. Bardzo prędko zapomniano o tym grobie i Aleksander Przeździecki po odkryciu odnowił go w połowie zeszłego stulecia. Czaszkę Richezy świetnie zachowaną, nawet z chrząstką nosową, pokrywa czepiec z czerwonego aksamitu haftowany

w greckie krzyże złote, ale brakło diadem. Akty kościelne przechowały wzmiankę, że Egidiusz Gelenius, kanonik koloński, otwierał trumnę w r. 1633 i znalazł koronę o sześciu klamrach. Musiano ją tedy wynieść, a potem zatracić. Zginął również, o ile istniał, sporządzony diadem dla żony Śmiałego, zapewne przez króla Wacława stopiony w tyglu, i dopiero z kolei może trzecia korona wraz z jabłkiem przetrwała do końca. Sprawił ją Łokietek dla Jadwigi kaliskiej, córki Bolesława Pobożnego.

Długosz kreśli w swych dziejach drobiazgowy i barwny opis, jak Ludwik po namaszczeniu w r. 1370 zabrał do Węgier koronę (Łokietkową), jak jej nie oddano Jadwidze, gdy jechała na objęcie tronu polskiego, jak dopiero we dwa lata po pogromie grunwaldzkim udało się Jagielle odzyskać ją w Budzie od cesarza Zygmunta i uroczyscie wprowadzić do Krakowa (w 1412). W interesie prawdy dziejowej należy odrzucić całą tę legendę, powstałą z dowolnych kombinacyj i domysłów Długosza — z mętnych wieści o zdarzeniu prawdziwym, lecz z dziejów węgierskich przeniesionem błędnie do polskich. W rzeczywistości Jadwigę uwieńczono nie leżącym w skarbcu diademem królowych, ale Łokietkowym i ta koronacja, jak cały charakter jej rządów, posiada odrębne i jedyne cechy w naszych dziejach. Poprzednio koronowały się żony królewskie, nie przeznaczone do współdziałania we władaniu państwem, tem samem nie odbierające od ludności przysięgi na wierność. Jadwiga koronuje się niezamężną, sama obejmuje ster rządów w swe ręce, a poddani składają jej przysięgę. Potem, gdy swoje i państwa losy związała z Jagiellą, to wielki książę Litwy nie występuje jako mąż królowej, ale jest spólrządca. Ten dualizm panujących już się więcej nie powtórzył w naszej historii — lecz na razie zaszła pewna trudność nieprzewidziana. Wówczas, i nieraz jeszcze potem, mogła wyniknąć potrzeba dla obojga królewskich małżonków występowania jednocześnie w oznakach majestatu, podkreślając te spólrządy państwem, więc oboje przywdziać musieli korony na głowę jednakowego znaczenia w oczach podwładnych — a w tym charakterze skarbiec zawierał tylko jedną, Łokietkową, żadna zaś inna podrzędniejszej ceny i powagi tu nie uchodziła. Musiano tedy na koronację Jagielly 17. II. 1386 sporządzić nową, szczerozłotą, ozdobną, ale ta nowa stawała się w oczach wszystkich pierw-

szorzędną, na równi z diademem królowej Jadwigi¹⁾. Przypuszczają, że ta właśnie korona Jagiełły służyła jego następcom, gdy hołdownicy na rynku miejskim klękali przed królem, i pod nazwą homagjalnej przetrwała w skarbcu do końcowego kataklizmu u schyłku wieku XVIII.

Czwartą i piątą koronę złotą (obie już nadpsute), jakie jeszcze oglądał Tadeusz Czacki, nazywano węgierską i szwedzką. Pierwsza z nich, wraz z berłem do niej należącym i do końca dochowanym, stanowiła prywatną własność Zygmunta Augusta, jako zapisana testamentem Jana Zapolyi króla Węgier († 4. III 1571). Użyto ją do pogrzebu ostatniego Jagiellona i zapewne przy namaszczeniu Batorego. Nazwę pozostałej, szwedzkiej korony, trudno objaśnić, gdyż należała także do Zygmunta Augusta, a pierwszy z Wazów, co zasiadał na polskim tronie, pozostawił regalja w swym kraju rodzinnym — nie przywędrowała zatem ze Szwecji. Sprawę rozjaśnić da się chyba domysłem, że Zygmunt III, jadąc z Polski na objęcie ojcowskiego dziedzictwa, potrzebował mieć stale pod ręką jakąś koronę drugorzędną, a nie mogąc tak łatwo i prędko wyjąć ze skarbcza krakowskiego, wziął otrzymaną w spadku po wuju i ta mu służyła w krótkim okresie jego rządów szwedzkich. Potem testamentem zapisał ją Polsce, lecz czekano długo, zanim Jan Kazimierz, spełniając wolę ojca, wniósł ją do skarbcza i wcielił do regaljów.

Po koronie moskiewskiej nie zostało już śladu. Władysław IV przeznaczył ją był dla kraju, ale Jan Kazimierz pod koniec swych rządów stopił na złoto, a energicznie przez sejm naciśnięty polecił w r. 1668 sporządzić nową i tę w sześć lat potem oddano do skarbcza. Zastawiona w 1700 r. elektorowi brandenburskiemu przepadła u Prusaków, chyba znów jak poprzednia stopiona w tyglu.

W chwili więc ostatniej lustracji istniało pięć koron wszystkiego, t. j. »originalis sive privilegiata« (Łokietka), królowych (żony Łokietkowej), »homagialis« (Jagiełły), węgierska (po Zapolyi) i szwedzka. Należało do regaljów 4 berła, 5 jabłek i miecz koronacyjny (szczyrbiec). Poza tem skarbiec świecił pustkami, ogłoszony z zabytków wartościowych, przechował trochę rupieci

¹⁾ Szczegóły w dziele Oswalda Balzera: Skarbiec i archiwum koron. Lwów 1917. 8-vo.

i trochę pamiątek w rodzaju sandałów dzieciennych Zygmunta Augusta z jego koronacji. Są dziś w muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, a długo uchodziły za trzewiczki królowej Jadwigi. Pokrywa je czerwony aksamit — jeden z nich zachował krzyż wyszyty galonem ze złota bez żadnych ozdób, drugi i z tego obdarty.

W Krakowie, gdy zdolny generał Wodzicki ruszył z Kościuszką i pod Szczekocinami głowę położył, została słaba załoga i pozostał skarbiec. Po boju zaś szczekocińskim odłączona kolumna pruska szła bez działań oblężniczych dla zajęcia starej stolicy, gdzie nadejścia wroga czekano bezradnie. Wieniawski posiadał trochę wojska linjowego, trochę miejskiej milicji, przyczem kantonieści obozowali w pobliżu i wspierało go chętne i ofiarne mieszczaństwo Krakowa, lecz ze zgonem Wodzickiego nie stało głowy i kierunku. Komendant Ignacy Wieniawski i jego pomocnik Jan Kalk podpułkownik, zmroziwszy zapał obrońców, nie próbując walki, miasto i zamek zdali przeciwnikom. Sąd wojenny skazał ich obu zaocznie na rozstrzelanie; grało tu raczej rolę tchórzostwo i słamazarna niezaradność niż srebrniki Judasza. Dość, że Prusacy 15. VI, 1794 wkroczyli do naszej Mekki i zaczęli rządzić po swojemu. Bardzo też prędko głuche wieści gruchnęły z Wawelu, że komnaty zamkowe zrabowane do szczętu, że temuz losowi uległ i skarbiec. Przeciwnik grasował dość długo, do 4. I. 1796 r. włącznie, a dniem później zlurowali go Austriacy i generał ich, podówczas baron Foullon, podpisał nie sprawdzając akt zdania zamku w tym stanie, w jakim go zastała pruska okupacja.

W parę już dni potem Foullon zażądał od magistratu wyznaczenia kilku radców, by asystowali jako świadkowie otwarciu i rewizji skarbcza. Delegowani 8. I. stanęli na wezwanie, po powrocie zaś »szlachetny« Bayer, burmistrz dawniejszy, złożył w ich imieniu lakoniczną i niedokładną relację urzędową, a treść jej rada miasta zapisała nazajutrz w księdze protokołów¹⁾. Delegację prócz rajcy Matiasa Bayera składali: Wojciech Tusseck, Jakób Gürtler, Antoni Józef Feistemantel, Sebastjan Glixelli, Augustyn Hellmond i Tomasz Krzyżanowski syndyk. W świecie Foullona znajdował się von Gometz pułk. inżyn., von Padani kap., von

¹⁾ Nr. książki 1270, Nr. sprawy 1788.

Reit podpor., Benoe wielkorządca krak. i Wincenty Kowalski murgrabia zamkowy. Zawołano przytem kilku rzemieślników. Na żądanie Foullona delegaci miejscy złożyli mu po niemiecku pisane i podpisane sprawozdanie, o wiele obszerniejsze, a przecho-
wało się w aktach we współczesnej kopji ¹⁾. Odszukał je i prze-
tłumaczył Kazimierz Kaczmarczyk ²⁾, a posłuchajmy tej relacji
w jego przekładzie: „... Udaliśmy się zatem przez dziedziniec
zamkowy na lewo, przez kamienne schody i przez korytarz, do
sklepu, gdzie skarb koronny przechowywano i gdzie na pierw-
szych drzwiach znajduje się napis: Thesaurus Regni. Zastaliśmy
w tych drzwiach żelazne węgary, silne drewniane drzwi, silnymi
żelaznemi sztabami na krzyż wzmocnione, opatrzone trzema za-
wiasami, zamek o trzech ryglach, trzy zasuwki i trzy mocne sko-
ble, na czwartym skoblu pasek z lnianego płótna opatrzone trzema
pieczęciami. Te, według wyjaśnienia murgrabiego zamku Kowal-
skiego, umieścili wysłani niegdyś do oglądnięcia koron królewscy
polscy komisarze JW. p. Czacki, Horain i kustosz koronny Seba-
stjan Sierakowski. Opieczętowane lniane paski były jednak prze-
ciągnięte nie przez zasuwki, lecz tylko przez skoble, tak że drzwi
można było otworzyć bez uszkodzenia pieczęci. — Na tych drzwiach
skobel w zamku i w murze w ten sposób odcięto, że rygle zamku
wcale nie trzymały i, zdaje się, że tylko za pomocą przłożonej
zasuwki drzwi były zamknięte. W ten gwałtowny sposób zostały
drzwi otwarte. Przy wejściu do pierwszego sklepu znajduje się
przepierzenie z desek, za niem szafa z otwartymi próżnymi szu-
fladami; na podłodze leżała tarcza z orłem polskim. — Z tego sklepu
idzie się do drugiego, w którym węgary również żelazne, mocne
drewniane drzwi okute żelazną blachą, mocnemi żelaznemi szta-
bami silnie obite, o trzech zawiasach, trzech skoblach i zasuw-
kach, zamek o trzech ryglach i haki do zamknięcia osadzone
w żelaznych węgarach, na drzwiach tych zastaliśmy żelazną bla-
chę i żelazne sztaby od dołu odbite, drzewo przewiercone i wy-
bity otwór, przez który człowiek do wnętrza może się prześliz-
nąć. Dwie silne kłódki odbite gwałtem od zasuwki, obok tarcza
oderwana od zamku do drzwi, leżą na podłodze, domyślamy się

¹⁾ Fascykuł (teka) Nr. 1281.

²⁾ Umieścił ciekawy feljeton w *Nowej Reformie*. Krak. Nr. 188 z 24
IV. 1909 p. t. Gdzie się znajduje szczerbiec i polskie korony.

z tego, że i te drugie drzwi z największym gwałtem także wy-
ważono. W sklepie tym znajdują się otwarte i próżne szkatuły
i różne starożytne żelazne naczynia i rzeczy; tuż na boku znaj-
duje się skrytka z żelaznemi drzwiczkami, próżna jednak i otwarta;
w niej mur w rogu przebito, ponieważ prawdopodobnie szukano,
czy tam nie ukryto jeszcze czego. — W drugim sklepie, w któ-
rym przechowywano polskie korony, pierwsze drzwi żelazne
i mocno okute, o jednym zamku; widzieliśmy dwa skoble i za-
suwki, kawałek kamiennych węgarów — odbite, rygle odemknięte;
za temi drzwiami są po obydwóch stronach dwie skrytki z że-
laznemi drzwiczkami otwarte i próżne, nie było jednak śladu,
żeby je otwierano, jak to zresztą i murgrabia Kowalski oświad-
cza, były one wewnątrz otwarte. Obok tych skrytek znajdują się
znowu drzwi z kamiennymi węgarami, drewniane, żelazną blachą
obite i żelaznemi sztabami okute, o trzech zawiasach, jednym
zamku o dwóch ryglach, z czterema skoblami i zasuwkami do
kłódek. Drugie drzwi, w nich żelazne węgary, otwierające się do
sklepu, mają również trzy zawiasy, są obite mocno blachą i że-
laznemi sztabami. W obydwóch drzwiach zastaliśmy blachy i że-
lazne sztaby odbite, drzwi i kłódki rozbite, otwarte i zniszczone. —
Gdy wchodzi się do sklepu trzeciego, w którym przechowywano
korony i insygnja królów polskich, widzi się okno ku wałowi
zamkowemu na wprost kościoła św. Idziego. W tym sklepie zna-
leźliśmy cztery wielkie skrzynie okute żelazem, z których trzy
owalne były otwarte, nie było jednak na nich śladów, ażeby je
otwierano, a jak murgrabia zamku Kowalski twierdzi — te trzy
skrzynie były zawsze otwarte i próżne, czwarta zaś skrzynia czwo-
roboczna, w której przechowywano korony, była cała podwójną
blachą i silnemi żelaznemi sztabami okuta, miała silny i sztuczny
zamek o czterech ryglach. Wieko było o trzech silnych zawi-
sach, na podłodze znajdowały się dwa haki, pięć skobli i zasuwka.
Skrzynię tę otwarto, jak to przyglądnięcie się wskazuje, w ten
sposób: przecięto trzy grube żelazne sztaby pilnikiem, z czego
jeszcze świeże opiłki leżą na podłodze. — Siedm silnych kłódek,
które odbito, leży również na podłodze, zamek wraz z ryglami
przemocą oderwano i zepsuto; obok tych skrzyń stoi drewniana
skrzynia, obciążona skórą, okuta żelazem z trzema zamkami.
W tej skrzyni leżały korony i insygnja królów polskich; skrzy-
nia ta stała w skrzyni wyżej wspomnianej, żelaznej, rozbitej naj-

większym gwałtem — była w niej zamknięta. Skrzynia ta była w trzech różnych miejscach trzema pieczęciami na paskach lnianych od dołu i góry przez komisarzy skarbu kor., pp. Czackiego Horaina, kustosza kor. Sebastjana Sierakowskiego w ten sposób zapieczętowana, że wszystkich pieczęci było ośmnaście, z tych nie oderwano żadnej pieczęci od dołu, a trzy zamki przemocą rozbito. W skrzyni tej nie znaleźliśmy jednak ani koron, ani insygnjów królów polskich, jedynie tylko bawełnę, w której były one opakowane. — Na tej skrzyni leżały inwentarze skarbcia koronnego, przez komisarzy polskich sporządzone, podpisane i opatrzone pieczęciami...« Tych sześć lustracyj z lat: 1690, 1730, 1737, 1739, 1764 i 1765 delegowani wzięli i złożyli w archiwum miejskim.

Brak tedy regaljów stwierdzono urzędownie, a komnaty skarbcia wyglądały, jakby przeszła przez nie horda Atylli lub czambuł Tatarów. Prócz walającego się żelazta bez wartości, wszystko do cna wyczyszczono — nie pozostał żaden cenny zabytek. Łupieztwa dopuścić się mogli tylko Prusacy, będący panami miasta i zamku, i nie darmo wieść o rabunku rozniosła się szeroko jeszcze w połowie 1794 r. Zostaje jednak kwestją otwartą, czy insygnja królewskie stały się łupem wroga, czy kryjomości je swoi, by zachować dla przyszłości; gdzieś w ukryciu czekały cierpliwie lepszej doli dla kraju. Wszak ratowanie koron, prawne lub samozwańcze, zdarzało się dość często — byłoby też niedołęstwem, graniczącym niemal ze zdradą, gdyby raz jeszcze nie miało się powtórzyć w tak wyroczej chwili.

Te czasy, pełne tragicznego napięcia i przeżywanej grozy, łącały ludzi, to też w ślad po utracie politycznego bytu upadek ducha był tak wielkim ogólnie, przynębienie tak straszliwe, że choć niejedyn zapewne żywo się zajął losem regaljów i usiłował dotrzeć do prawdy, wszakże prócz ustnych, niepewnych tradycyj żadne źródło długi czas nie przekazało nawet wzmianki o koronach. Jakoby w r. 1815 Rosja zażądała w Berlinie zwrotu polskich insygnjów, ale to wątpliwe, a istnieje domysł, że ks. Adam Czartoryski wiedział o nich wszystko i to może wyjaśnia, że tej reklamacji rosyjskiej (o ile istniała) nie poparł całą wagą swojego wpływu, wiedząc, że byłby wówczas arcskutecznym.

Powszechne było mniemanie, że insygnja są w Berlinie, a kilka dzieł później wydanych stwierdzało to pozornie. I tak najwcześniej miały krążyć opowiadania Łubieńskiego, ministra

sprawiedliwości. Ów Feliks Walejusz Łubieński, zrazu starosta nakielski, skreślił zaniedbanym stylem pamiętnik, nie przeznaczony wcale do druku, a ten rękopism po streszczeniu i przeróbce Władysława Chomętowskiego wydano po raz pierwszy w Warszawie dopiero w r. 1874. Pisze tam autor¹⁾, że z Działyńskim, jako delegowani z zaboru pruskiego, jeździli do Berlina w 1798 winszować Fryderykowi Wilhelmowi III wstąpienia na tron. Łubieński przemawiał do królowej pruskiej, Ludwiki księżniczki Meklemburg-Strelitz, a gdy ta odpowiadała, uległ silnemu wzruszeniu. Spostrzegła to królowa i po audiencji zapytała przez hr. Massau o powód niezwykłego zmieszania. Na odpowiedź wymijającą żądała powtórnie wyjaśnień, wtedy Łubieński odrzekł otwarcie, iż zauważył w diademie i naszyjniku klejnoty, co mu przypominały widziane w koronach polskich. Z kolei Niemka, czując się dotkniętą, »poprzestała... na tem tłumaczeniu — rozkazała odnieść klejnoty do skarbcia i odtąd już ich nigdy nie używała«. Ale cała ta opowieść bardzo niepewna — Łubieński nie zawsze pisał czystą prawdę i z jego pamiętnika korzystać należy z wielką oględnością, zwłaszcza gdy brak skądinąd stwierdzenia tego epizodu.

O wiele już poważniejszym źródłem jest Juljan Ursyn Niemcewicz. Pamięniki jego wyszły w r. 1848²⁾, a w nich powiada, że z innymi Polakami poznał w Rzymie Augusta Fryderyka ks. de Sussex, królewicza Angielskiego, że w r. 1793 raz na obiedzie Adam Walewski, widać tego podchmielony, wznosi kielich z żądaniem detronizacji Stanisława Augusta, a obioru Sussexa, co obecni powtórzywszy, złożyli nawet elektowi przyrzeczenie wierności. Otóż po latach, gdy Niemcewicz widział w Londynie ks. de Sussex w 1831 r., usłyszał od niego: »Wyście mnie obrali królem i nie darmo, gdyż w kilka lat potem, gdym był w Berlinie i oglądał skarbiec tameczny, włożono mi na głowę koronę jednego z królów waszych. Była to korona (objaśnia autor), zabrana z innymi insygnjami królewskimi w r. 1794, w czasie krótkiego Prusaków w Krakowie pobytu«³⁾. Przypuściwszy prawdziwość samego faktu, choć to wielce wątpliwe, może ks. Sussex

¹⁾ str. 164—165.

²⁾ Paryż 8-ka.

³⁾ str. 201—202.

przymierzał koronę moskiewską, zastawioną przed stu niemal laty, jeśli ją stopiono dopiero po Jenie i po bankructwie państwa. Cytowany autor nadmienia jeszcze, że po kapitulacji Krakowa »złodziejskim sposobem wykradli Prusacy ze skarbu królewskiego korony i klejnoty koronne«¹⁾.

A to ogólne przekonanie najbardziej utwierdziły i najgłębsze wywarły wrażenie pamiętniki Kratzera, ale wnioski z nich wyprowadzone szły już za daleko. Franciszek Ksawery Kratzer sprawował urząd kantora na Wawelu, był przytem dyrektorem szkoły śpiewu i chórów djecezji († 1818). W czasie pruskiego najazdu mieszkał na zamku i wiele rzeczy mógł widzieć i wiedzieć od naocznych świadków, zwłaszcza o szczegółach rabowania komnat. Zostawił swe wspomnienia, tak puściwszy cugle fantazji i łatwości, że dziś trudno wyłuskać prawdę ze stosu zmyślni. Pamiętniki widocznie spisał niedbale, chaotycznie, z pamięci często zawodzącej, stylem chyba niemożliwym, skoro posiadacz rękopisu, Lucjan Siemieński, musiał go wygładzić i przerobić. Tekst tak zmieniony ogłosił w urywkach Józef Łepkowski najpierw w r. 1862²⁾, potem w 1864³⁾. Po śmierci Siemieńskiego nie zdołano odszukać rękopisu w jego papierach. Jako próbkę wiarygodności przytaczam ustęp, opisujący korony, zbroje, sztandary, wystawione w czasie lustracji na widok publiczny: »Osobom chcącym zwiedzać te miłe pamiątki wydawane były bilety w magistracie. Każdego dnia od godziny 10 aż do 5 wieczór wpuszczano ciekawych i trwało to przez miesiąc czerwiec« (wejście Prusaków zaszło 15. VI.) »poczem znowu napowrót wszystko w początku schowano do skarbcza w przytomności komisarzy i delegowanych z magistratu krakowskiego... Przybył nakoniec w roku 1789 (sic) ów nadzwyczajny komisarz, Tadeusz Czacki, i kustosz koronny hr. Sebastjan Sierakowski do Krakowa; najprzód sprawdzili inwentarz pałacu królewskiego, potem w sali audjencejnalnej kazali urządzić trzy stoły, nakryte dywanami tureckimi, wyjętymi ze skarbcza koronnego i na tych ustawiono korony oraz inne insygnja. W tej liczbie zauważyłem

¹⁾ l. c. str. 214.

²⁾ Z przeszłości szkice i obrazy. Kraków 8-ka str. 89—91.

³⁾ Encyklopedia powszechna Orgelbranda. Warszawa. Tom XV, str. 858—859, artykuł o Krakowie.

koronę królowej Jadwigi, darowaną od króla węgierskiego; koronę hiszpańską także darowaną; cesarską darowaną od cesarza niemieckiego Bolesławowi Krzywoustemu; szwedzką Zygmunta III: czeską także, dar niewiadomo od kogo, i innych jeszcze kilka; wszystkie te korony były szczerozłote i drogiemi kamieniami gęsto nasadzone... Była i zbroja owego Zawiszy Czarnego, jego niezmierny buzdygan, szabla i siodło; były między innymi trzewiki królowej Jadwigi z jej koronacji, maleńkie, a perłami i kamieniami drobnymi naszywane i t. d.¹⁾.

Opis grabieży rozpoczyna w ten sposób: »Stali Prusacy w Krakowie i okolicy aż do czasu, gdy się ostatni podział Polski zdecydował. Niejaki Zubrzycki wysłużony kapitan artylerji polskiej był magazynierem w zamku i żywił się z rodziną swoją przy Prusakach. Gdy widział, że mu bieda zagraża, powziął myśl haniebnego zabezpieczenia sobie przyszłości. Udaje się tedy do Luwika Antoniego von Hoym, tajnego konsyliarza i pełnomocnego komisarza jegomości króla pruskiego w Krakowie, oświadczając, że jeżeli mu wyjedna urząd dostatni, to wskaże miejsce, gdzie skarbiec koronny ukryty... Stało się zadość życzeniu, bo Zubrzycki dostał nominację na komisarza porządku w Częstochowie z pensją roczną 180 talarów i mieszkaniem«.

Wygląda to wszystko niemożliwie — skarbiec, jak za czasów Drewicza i okupacji rosyjskiej, nie był wcale ukryty, od wieków w tych samych mieścach komnatach i nad drzwiami wisiała, może nie zdjęta, tablica z napisem: »Thesaurus Regni« — wiedzieli o tem wszyscy i oszczędni Niemcy mogli się doskonale obejść bez przekupstwa. Otóż wedle Kratzera »dopełnia tedy Zubrzycki obietnicy, ostrzegając, że trzeba biegłego ślusarza do otwarcia zamku, a dla uniknienia w mieście tumultu lepiej majstra takiego skądinąd sprowadzić. Posłano więc do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego; tymczasem nadchodzi wiadomość, że wojska austriackie mają zająć województwa: sandomierskie, lubelskie i krakowskie. Trzeba się było spieszyć. Przybywa wreszcie, ślusarz ów z Wrocławia; więc Hoym, sekretarz jego Lang, generał-major Leopold von Rüts i starsi wojskowi udają się na otwarcie wskazanych drzwi. Usiłowania majstra, chcącego pilnie

¹⁾ Cytuje Feliks Kopera: Dzieje skarbcza kor. krak. 1904, 8-ka, str. 228—229.

usłużyć, okazały się bezskuteczne. Pan generał radził zatoczyć armatę, twierdząc, że jednej kuli dość na otwarcie okutych wrót. Kowalski murgrabia zamku zreflektował gorących, że wystrzał wstrząśnie i zawali sklepienie. Przywołano tedy krakowskiego majstra ślusarskiego Franciska Weisa; ten obejrzawszy drzwi, osądził, że innego niema sposobu, tylko spodni węgar wybić tak, aby się tam człowiek pod nie przecisnął i rygle z wnętrza zasunięte otworzył. Rada praktyczna, więc stanęło na tem i wyrąbano próg kamienny, otworem wpelzał się majster, krzyżowe rygle odsunął i drzwi otwarł«. Istotnie w ten tylko sposób dobrano się do skarbcza, jak to udowadnia niemiecki protokół delegacji z r. 1796, lecz wciąż zostaje tajemnicą, czy tą drogą weszli pruscy rabusie, czy kto inny przed nimi. Gdy już drzwi stanęły otworem, »oddalono przytomnych, a tylko Hoym, Lang, Rüts i murgrabia krakowski weszli do sklepu. Wzięto zamknięte i zapieczętowane puzdro i to karetą gubernatora do mieszkania jego odwieziono. Zubrzycki, czekając na dziedzicu, oświadczył gubernatorowi, że w komnatach królewskich co nieco znaleźć się może. Odebrano tedy Kowalskiemu klucze od pokojów pałacowych, z poleceniem, aby się jutro z domu nie oddalał, aż przyjdą. Nazajutrz z rana przybyli znów Hoym, Lang, Rüts i komendant zamku major Mask. Na pokojach Lang prenotował sprzęty, a niemi się wedle stopni dzielono. Pozwolono brać i kapitanom, ober i unter lejtenantom, feldfeblom, kapralom i knechtom nawet. Gdy zabrano sprzęty, lustra, obicia, opony, stoły a stołki, wyjmowano nawet okna i posadzki, odrywając zamki, zabierając wreszcie drzwi w fasony cięte. Tak pałac królewski stał się i bez wojny pustką, a rudera, jakby po ogniu... Murgrabia Kowalski, drzwi główne wchodowe żelazem okute zamknąwszy, ze zgryzoty zaraz zachorzał i umarł. Stróż więc zamkowy, Urban, klucz od bramy owej oddał Prusakom. To wszystko stało się w końcu roku 1795«.

Cała ta opowieść jest stekiem bajek lub nieściskości, a ich tak wiele, że i zbijać nie^o warto. Dość zaznaczyć, że sam fakt grabieży zaszedł nie przy końcu r. 1795, lecz w 1794 w ostatnich dniach czerwca; — opilki zaś leżące na podłodze, jako pozostałość po pruskim czy polskim wdarcu się do skarbcza, mogły spoczywać nietknięte w pustej i pozornie zamkniętej komnacie do oględzin austrjackich, nie bardzo tracąc cechę świeżości.

Kowalski nie tak znowu zaraz zmarł ze zgryzoty, skoro asystował przy rewizji Foullona. Puzdro opieczętowane, jakie ze skarbcza wieziono do pałacu spiskiego, gdzie zrazu Hoym rezydował, zawierało coś innego niż regalja, bo potem znaleziono skrzynię, mieszczącą niegdyś korony, lecz leżała rozbita, pusta, z wysłaną na spodzie bawełną. Zresztą Kratzer stwierdza tylko radykalne obdarcie zamku, lecz z jego opowieści nie wynika wcale, by i regalja stały się łupem przeciwnika.

Ogólnie jednak święcie w to wierzone, wnioskując, że skoro wszędzie, plondrowali Prusacy, a koron nie stało, zabrali je niezawodnie. Na taki wynik trudno się pisać, jak trudno także na pogląd Ludwika Stasiaka¹⁾, że tylko zamek przy czynnej pomocy Zubrzyckiego i Weisa padł ofiarą pruskiej chciwości, a skarbiec pozostał nienaruszony.

Aleksander hr. Przeździecki i Edward baron Rastawiecki usilnie szukali śladów po naszych insygnjach koronacyjnych, zwracając się z tem do stolic trzech rozbiorowych potęg, ale bez skutku. Zbytecznie tylko szukać w Petersburgu, bo Mikołaj I nie używałby do koronacji warszawskiej w r. 1829 cesarskiego diadem, gdyby polski posiadał.

Potem co do Berlina wyjaśnił kwestję 26. XI. 1882 zwiedzający Kraków następca tronu pruskiego. Późniejszy Fryderyk III podróżował pod przybranem nazwiskiem, z niepokazną swiata, a policja zawiadamała, iż zjeżdża oglądać osobliwości pewien dworski dygnitarz z Berlina. Tak też uprzedzono i bibliotekę Jagiellońską — nikt tam zatem nie wiedział, jaką turysta gra rolę w Niemczech i nikt go nawet o duży wpływ nie posądzał. Dyrektor Karol Estreicher przeznaczył Żegotę Paulego do oprowadzania gościa po zbiorach i po starym gmachu. Fryderyk wszystko oglądał ciekawie, a przy podpisach królów w księdze pamiątkowej zawiązała się z Paulim dłuższa gawęda. Przybysz sam wszczął rozmowę o polskich regaljach i sam zapytał, co z niemi się stało. Na odpowiedź Paulego, że skradli Prusacy (»Die haben Preussen gestohlen«), zauważył, że to nie może być prawdą, bo inaczej musiałyby się znaleźć w Berlinie lub Potsda-

¹⁾ Feljeton w krakowskiej *Nowej Reformie* p. t. Gdzie się znajduje szczyrbec i polska korona? Nr. 48 z 30. I. 1909.

mie, a tam ich niema i nigdy nie było. Pauli, z tropu nie zbity, znowu powtórzył, iż niewiadomo, co Prusacy z niemi zrobili, lecz to pewne, że skradli. Na tem urwała się rozmowa. Przyszły cesarz pospiesznie zwiedził resztę i wrócił do siebie ¹⁾.

Jakież tedy los spotkał narodowe świętości polskie?

Obok bardzo rozpowszechnionego mniemania, że korony są u Prusaków, odrazu w nielicznych kołach chodziły wieści, że one ocalały, w druku jednak żadne wzmianki o tem nie pojawiały się długo.

Joachim Lelewel, posądzany, że losy regaljów nie stanowiły dlań tajemnicy, wyraża się dość mglisto w swej rozprawie z r. 1859 p. t. Korona Polski i jej królewskość ²⁾: »Co się stało w chwili zamieszania i niedoli z szanownym pomnikiem chwały i poniżenia, z tą starą koroną Bolesława, która przeżyła ośm wieków: gdzie ona się podziała? — na to odpowiedzieć nie umiem. Jeden z pomiędzy rabusi rzeczypospolitej, to jest król pruski, zagarnął skarbiec krakowski, gdzie wszystkie korony i znaki królewskości narodowej były zachowane. Wieść głucha chciała pocieszyć strapione uczucia narodu, zapewniając, iż patrijotyczne ręce w chwili kradzieży skarbcza zdołały unieść jedną tylko koronę Bolesława jako szanowne palladium Polski i złożyły ją w miejsce bezpieczne pod straż ludzi wiernych swej ojczyźnie. Jednakowoż po odzyskaniu Moskwy, po wojnie Aleksandra z Napoleonem, niektóre dzienniki wymieniły pomiędzy zdobyczami, złożonemi przez cara w Moskwie, koronę Bolesława. Nikt jej nie widział w Berlinie, w czasie podbojów Napoleona nikt nie myślał jej szukać, ani w Prusach, ani w Rosji. Niechaj spokojnie spoczywa tam, gdzie ją los zaniósł«. Wydaje się, jakoby Lelewel nie chciał pisać wyraźnie, a zaznaczam, że niepodobna, by ze skarbcza wynoszono koronę w czasie pruskiej kradzieży, ani nawet w czasie postępu na Wawelu wrogięgo żołdactwa, wymagałoby to bowiem tajemnicy, czasu, przygotowań, słowem zespołu warunków, o jakich za okupacji trudno i zamarzyć.

W tymże 1859 roku wyszła biografja Kościuszki Leonarda

¹⁾ Tak opowiadali naoczni świadkowie p. Janowi Kozubskiemu bibliotekarzowi uniwersytetu; Pauli tylko nie lubił o tem wspominać.

²⁾ Lotniki piśmiennictwa tułaczki polskiej, Bruksela, str. 139.

Chodźki ¹⁾. Autor, nadmieniając o utracie Krakowa po bitwie szczekocińskiej, pisze już jasno: »Wszakże korony i berła polskie zostały ocalone ze skarbcu zamkowego i nie ukażą się, aż przy zupełnej niepodległości Polski«. Z czasem lakoniczna ta wzmianka coraz bardziej się rozwija i uzupełnia. I tak we 20 lat po Chodźce Kajetan Kraszewski w *Bibliotece Warszawskiej* ²⁾ podaje na podstawie ustnej tradycji:

»W dniu 14 czerwca 1794, gdy nieobecność komendanta (w Krakowie) a stąd zupełny rozstrój słabych sił miejscowej załogi i trwoga powszechna rokowały już nieuchronne wejście nieproszonych gości, jak wieść niesie, przybyły jakoby z wieczora do zamku dwie osoby, opatrzone w klucze od skarbcza, wzięły stamtąd niektóre insygnja, skarbiec napowrót zamknęły i odjechały. Te więc główne koronacyjne klejnoty, według podania, miały się, czy mają jakoby w rękach jakiejś rodziny, pod pieczęcią tajemnicy, jako depozyt narodowy przechowywać«.

Wiadomość ta wydaje się mało prawdopodobną. Jakkolwiek w dobie porozbiorowej nie było u nas nigdzie dla koron absolutnie bezpiecznego przytułku, byłoby wszakże strasznie ryzykownem łączyć losy regaljów z losami prywatnej rodziny o zmiennym z natury rzeczy składzie swoich członków w szeregu pokoleń pod względem wartości etycznej, o zmiennem stanowisku majątkowem, podlegającym to wywłaszczeniu skutkiem marnotrawstwa, to konfiskacie rządowej, możliwej z byle jakiego powodu albo pretekstu, to tylu innym wreszcie niespodziankom.

Na tle tradycji o wyniesieniu koron ze skarbcza z biegiem lat fantazja coraz to nowe haftowała szczegóły. Dość wspomnieć legendę, cytowaną w r. 1889 ³⁾, że po opieczętowaniu skarbcza przez Prusaków kustosz Sierakowski i malarz Stachowicz z pomocą mularza wynieśli otworem najcenniejsze klejnoty.

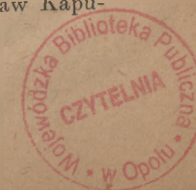
W r. 1885 ks. Wacław Nowakowski uchylił znowu rąbka tajemnicy, a w lat dziewięć potem opowieść rozszerzył ⁴⁾. Nie znalazła ona wiary w świecie naukowym, a jednak zasługuje

¹⁾ Usque ad finem. Żywoty narodowe. Paryż 1859, roz. IX, str. 27.

²⁾ Rok 1879, t. I.

³⁾ Wiarus, Kalendarz poznański Chociszewskiego, str. 80.

⁴⁾ Edward z Sulgustowa: Kościoły i klasztory zakonów reguły św. Ojca Franciszka w Polsce. Kraków 1885, str. 3—8, oraz X. Wacław Kapucyn: Kraków w roku 1794. Krak. 1894, srt. 12—13, 55—58.



na zbadanie, bodajby dlatego, żeby się obeznać z literaturą przedmiotu, by dotrzeć do prawdy możliwie blisko. Czytamy tedy: »Ze (Prusacy) skarbiec zabrali... to rzecz pewna, ale że insygnja królewskie nie dostały się im, to także nie ulega żadnej wątpliwości, ponieważ wywiezione zostały z Krakowa jeszcze przed przybyciem Prusaków. Prusacy weszli do Krakowa dnia 15 czerwca 1794 r., a insygnja wywiezione zostały 25 kwietnia t. r. i zawiezione wprost do Włodzimierza na Wołyniu... Prócz Cieciszewskiego o ukryciu tym wiedzieli biskup krakowski Turcki i Naruszewicz; wywiezione zaś zostały przez jednego księdza zakonnika i braciszka zakonnego, który zamurował. Czy X. Sebastjan Sierakowski, kustosz koronny, który wiedział o wywiezieniu, wiedział także i o miejscu ukrycia, niema pewności«. W późniejszej pracy pisze o tem obszerniej: »...Uczony, pobożny i wielki miłośnik Ojczyzny, prałat Waclaw Sierakowski... nie opuścił Krakowa... On to za poradą kanonika Pruskiego skłonił brata swego, kanonika Sebastjana, kustosa koronnego, że wydobył ze skarbcza insygnja koronne i takowe przez świątobliwego O. Kajetana, gwardjana Kapucynów¹⁾ 25 kwietnia t. r. przesłał do Podkamina do klasztoru Dominikanów, biskupowi Cieciszowskiemu do przechowania (przewiezione do Łucka, następnie do Włodzimierza, tam w klasztorze Kapucynów do r. 1842 zostawały w ukryciu)«. Wśród regaliów znajdował się i miecz koronacyjny, o czem ks. Waclaw nadmienia: »Szczerbiec wraz z innemi insygnjami w rękach polskich, po dziś dzień nietknięty, czeka przyszłego króla polskiego... Wszystkie domysły zbyteczne, wobec niezawodnej pewności o istnieniu w ukryciu insygnjów koronacyjnych, a razem z niemi i naszego szczerbca obecnie sprawdzono«.

Pisał to w r. 1894. Walery Eliaz (Radzikowski) na podstawie ustnych objaśnień ks. Waclawa dodaje²⁾: »O. gwardjan Tadeusz z bratem Antonim, wywiozłszy z Krakowa owe relikwie narodowe, przybył z niemi do Podkamina, lecz biskupa Cieciszewskiego tam nie zastał, bo był odjechał do Łucka. Puścili się tedy Kapucyni za nim, lecz i w Łucku go nie zastali, gdyż co dopiero pojechał do Berdyczowa. Nie mogąc już tak daleko za-

¹⁾ Był nim O. Tadeusz, co już sprostował Walery Eliaz w swej rozprawie o koronach.

²⁾ Szczerbiec, miecz bolesławowski. Kraków 1898, str. 8—9.

puszczać się z powierzonym sobie depozytem, nakręcił ks. gwardjan do Włodzimierza, gdzie był klasztor Kapucynów i przybywszy tu d. 8 maja, tegoż samego dnia z bratem Antonim kufer z insygnjami w skrytce klasztornej zamurowali. W Krakowie z tej wyprawy z powrotem stanęli d. 25 maja...« I w innej swej pracy o koronach królów polskich¹⁾ pisze Walery Eliaz, że »po ogłoszeniu dat wywiezienia tych klejnotów, jeden z uczonych sprawdzał zapiski o pobycie ks. biskupa Cieciszewskiego w Podkaminu i pokazała się ich zgodność z słowami kroniki kapucyńskiej«. Dodaje jeszcze o źródle tych wiadomości: »Dowiedziałem się od ks. Waclawa, że w klasztorze krakowskim OO. Kapucynów znajduje się kronika zdarzeń miejscowych spisana po łacinie. Wypadki w r. 1794 są w niej szczegółowo podane, jakoteż udział w nim OO. Kapucynów... Z obawy przed prześladowaniem, gdyby odkryto w klasztorze opisany udział OO. Kapucynów w powstaniu, wyjęto z kroniki te kartki, które zawierały wiadomości polityczne, a na innych przepisano to, co dotyczyło wyłącznie spraw klasztornych. Otóż te wytargane i prawie już zatracone kartki udało się odszukać O. Waclawowi, i dlatego wspominając o nich, wymienia dwie kroniki kapucyńskie«. Prusacy tymczasem, nie zastawszy koron, zarządzili poszukiwania i wedle słów ks. Waclawa, »rewidowano (2 lipca) wszystkie domy, klasztory i kościoły. U Kapucynów na drugi dzień ponowili rewizję, jeszcze ścisłej, otwierano teraz groby, zaglądano do trumien, słowem przetrzęsiono cały klasztor. Ze sposobu rewizji, w jaki się odbywała, można było poznać, że nie tyle broni, ile czegoś innego szukali, ale nie znaleźli, czego szukali, bo nic nie wzięli«.

Prócz O. Waclawa nikt nigdy, chyba nawet i Walery Eliaz, żadnej kroniki kapucyńskiej nie widział — wyrażono też wątpliwość, czy istniała kiedykolwiek, a niejeden sądził, że ks. Waclaw dla rozbudzenia drzemającego u wielu na dnie duszy patriotyzmu, podał rzeczy słyszane wątpliwej pewności, ubarwiwszy odpowiednio. Tymczasem tak nie jest i kronika kapucyńska istnieje na pewno, ale w drugim odpisie. Rękopis zachowany jest to w skórze oprawna księga in foljo pod tytułem: »Historia Conventus nostri Capucinatorum Cracoviensium« — rozmiary pisma em. 31,3 na 18,2 — z marginesem zaś 35,5 na 21,5. Stronic numerowanych ma 504

¹⁾ Poznań 1899, str. 51—53.

(trochę z początku liczbowano tylko karty), poczem następuje: »Elenchus Patrum & fratrum provinciae polonae defunctorum« — kart VI i cztery następne puste. Kronika obejmuje wypadki z lat 1695 do 1836, wykaz zmarłych zakonników od 1687 do 1793. Że ta kronika jest tylko kopją innej, dowodzi to, iż jeden charakter pisma widać w ciągu lat 101, od początku aż do r. 1796, a w 1798 ta sama ręka znowu powraca. Jest w niej wzmianka pod 2 lipca o pruskiej rewizji, powtórzonej nazajutrz w sposób ostrzejszy, jak podaje ks. Waclaw. Pod dniem 25 kwietnia zapisano dyplomatycznie, że gwardjan z bratem Antonim wyjechał »pro futura nostra Congregatione Vladimiriæ celebrande«. I znów 25 maja, że »Thadaeus Gvardianus ac suo socio Fre Antonio redux ex Congregatione Vladimiriæ, confectis plus quam 100 milliaribus itineris per partes Galliciae, feliciter pervenit ad hunc Conventum pro continuando in eo suo officio«. ¹⁾ Wygląda to wszystko arcy-niewinnie, ale właśnie tu nasuwa się uzasadnione przypuszczenie, że w kronice pierwotnej, oryginalnej mogły być bardziej wyraźne szczegóły o celu podróży gwardjana na wschód, że ze względu na te szczegóły karty odnośne w obawie przed rewizjami wyrwano, a potem całą kronikę, by nie zdradzała samą ową lukę tajemnicy, skopjowano, dodając tylko ogólnikowe wiadomości o wyjeździe gwardjana. Wydarte karty mogły być przechowane w jakiejś głębokiej skrytce i mogły być odnalezione przez O. Waclawa, i z nich a nie z fantazji własnej zapewne podał on przytoczoną wyżej opowieść. Kartek tych wszakże w papierach po O. Waclawie nie udało się odnaleźć.

Co sądzić o opowieści O. Waclawa i jakie dalsze były losy regaljów? Bracia Sierakowscy, starszy Waclaw i młodszy Sebastian kustosz, byli kanonikami na Wawelu i wielki wpływ posiadali wśród duchowieństwa katedralnego. Obaj wykształceni, zdolni, gorąco kraj miłujący, mogli i powinni byli zatroszczyć się szczerze losami skarba i inicjatywa z ich strony jest całkiem zrozumiałą i naturalną. Podzielał ich uczucia O. Tadeusz, gwardjan Kapucynów, a on to w kaplicy loretańskiej błogosławił oręż Kościuszcze i Wodzickiemu, przed ich pójściem na rynek dla wykonania przysięgi powstańczej. Z osobistych wspomnień mogą przytoczyć, że w czasie jubileuszu Akademji Jagiellońskiej, spędziw-

¹⁾ Str. 255, 251, 253.

szy kilka długich wieczorów w celi O. Waclawa na gawędce o losach koron, słyszałem od niego, że gwardjan jechał do Podkamienia zapewne niepozornym wozem, zapewne wężykiem wzdłuż karpackiego podgórze, by uniknąć spotkania z wojskiem austriackim. Biskup Cieciszowski nań oczekiwał, nie mogąc jednak zatrzymać się zbyt długo; ruszył z powrotem, a gwardjan w ślad za nim popędził do Łucka. Z kolei i tam także spóźnił się z przyjazdem, a jechać do Berdyczowa było i za daleko i niezbyt bezpiecznie dla wałęsających się po drodze oddziałów rosyjskich. Przenocowawszy tedy w Łucku, zboczył do odległego o wiorst 60 Włodzimierza.

Korony przeleżały noc jedną w katedrze łuckiej, a już na tem tle fantazja stworzyła legendy, kursujące po Wołyniu dość nawet szeroko, i jak zawsze w tego rodzaju mglistych podaniach tkwi ziarenko prawdy, niezmiernie tylko trudne do odnalezienia. Rozpowiadano, że jedna z koron zamurowana w ścianach łuckiej katedry, że potem tajnie ją wydobyto i dwie rodziny, wymieniane z nazwiska, miały wzbogacić się z przywłaszczonych klejnotów diademu. Zbytecznie nadmieniać, że to pusta gra wyobraźni.

Nad ukrytym w taki sposób skarbem u Kapucynów włodzimierskich przeminęło lat 48. Potem pisze ks. Waclaw: »Szczegół dotyczący się tego klasztoru, który podajemy, chociaż od wielu znany, a w swoim czasie nawet powszechnie znany, nigdzie atoli dotąd dla pewnych powodów chyba nie był ogłoszony i dlatego powszechnie niemal został zapomniany. Ciekawy jednak bardzo, zwłaszcza że ma związek z najdroższymi pamiątkami naszej przeszłości i prostuje błędne mniemanie o zaborze tych pamiątek. Niemalą zapewne dla publiczności naszej będzie pociechą dowiedzieć się, że te drogocenne pamiątki nasze narodowe nie w obcych, lecz w naszych rękach zostają w depozycie. — Było to w r. 1842. W tym czasie przyjechał do Włodzimierza na Wołyniu z Petersburga cesarski Fligiel-Adjutant w towarzystwie trzech innych osobistości. Po przybyciu udał się do miejscowej władzy (horodniczego) i kazał sobie wyznaczyć dom na tymczasowe mieszkanie i postawić przy nim straż wojskową. Zdziwiło to wszystkich nie mało i nabawiło wielkiego strachu, który objął nie tylko samo miasto, lecz i całą okolicę; wiadomość bowiem o tym przyjeździe Fligiel-Adjutanta w oka mgnieniu na wszystkie strony się rozeszła i była przedmiotem największego niepokoju i zacie-

kawienia. Ciekawość ta jeszcze się wzmogła, gdy ów Fligiel-Adjutant nikogo zgoła do siebie nie dopuszczał i żadnych nie przyjmował wizyt i tylko w towarzystwie tych trzech z nim przybyłych osobistości chodził po mieście i ze szczególniejszem zajęciem się przypatrywał kolejno trzem pozostałym tam skasowanym klasztorom po Dominikanach, Bazyljanach i Kapucynach. Klasztory Dominikański i Bazyljański bardzo starożytne, zachowane wszakże były w całości, oba dość wielkie a nawet wspaniałe, kapucyński zaś klasztor, chociaż nie tak dawnej fundacji, był niemal zupełnie w ruinach. W jednej, oderwanej przez wyłomy części, na piętrze mieszkał ksiądz Wikary, a w drugiej przytykającej do kościoła, który zachował się był w całości, i gdzie obecnie proboszcz mieszka, mieściła się kancelarja policji. Po dwóch tygodniach takiego oglądania tych klasztorów i kościołów Fligiel-Adjutant nakazał wynieść z po-Dominikańskiego kościoła Najświętszy Sakrament. Potem wezwał kilku rzemieślników i z nimi czynił jakieś tajemnicze poszukiwania w kościele i klasztorze i w przytykających murach, nadewszystko zaś w kościele. Czyniono wyłomy, świdrowano, rozwalano, bito młotkami po ścianach, ale chociaż nie było miejsca w całym kościele, któregooby nie tknięto, snadź nie znaleziono tego, czego szukano. Jakoż po dwóch tygodniach takich poszukiwań, Fligiel-Adjutant, zostawiwszy horodniczemu potrzebne pieniądze na reparacje poczynionych w kościele rujnacyj, nazajutrz do świtu wraz z towarzyszami, jak przyjechał, tak i odjechał. Tymczasem tego samego dnia, kiedy wyjechał Fligiel-Adjutant, stróż policyjny, mieszkający w kancelarji policji w klasztorze po-Kapucyńskim, jak mówiliśmy, mieszczącej się, nad rankiem idąc do miasta w kierunku bramy, będącej w dawnym ogrodzeniu klasztorne, postrzegł w murze po lewej ręce jakieś wydrążenie świeżo uczynione, którego wpraw nie było. Postrzegłszy zaś to, uważał za obowiązek donieść o tem horodniczemu. Horodniczy nie przyszedł, lecz wczwał przybiegł oglądać owo zagadkowe wydrążenie z tego powodu, że świadczyło, że w niem coś być musiało w ukryciu zamurowane, a teraz zostało wyjęte. A to coś musiało być w jakiejś sporej skrzyni dębowej okutej żelazem, gdyż pozostałe ślady rdzy żelaza i próchna dębowego o tem świadczyły. Natychmiast wysłano sztafetę w ślad za Fligiel-Adjutantem, który w największym pędzie powrócił i, obejrzawszy to wydrążenie, wpadł

w wielki gniew i nakazał całe miasto opasać strażą i nikogo z miasta nie wypuszczać. Następnie uczynioną została najściślej-sza rewizja wszystkich domów, niestety jednak nie wykryto, czego szukano. Badając tylko (a wszystkich badano i wypytywano się) dowiedziano się, że późno w nocy przyjechał był do zajezdnego domu żydowskiego parokonnym wozem, jakim tam zwykle jeżdżą kwestarze, jakiś w szarej kapocie szlachcic stary z siwą brodą i, popasłszy konie, jeszcze w nocy jak przyjechał, tak i wyjechał. Wiadomość ta zwróciła uwagę Fligiel-Adjutanta. Wysłano więc na wszystkie drogi pogoń za tym starym szlachcicem w kapocie, ale ów szlachcic tajemniczy z siwą brodą jak w wodę wpadł; pomimo wszelkich starań i nakazów i obietnic nagrody nigdzie go nie znaleziono. Rewizja ta Włodzimierza, połączona z ciągłym obsaczeniem miasta, trwała przeszło dwa tygodnie, poczem Fligiel-Adjutant po niefortunnej swej wyprawie w najgorszym humorze, zostawiwszy pewne instrukcje Horodniczemu do dalszych poszukiwań, odjechał do Petersburga. Mało po mału wszystko z czasem wróciło do dawnego stanu, zostało tylko wspomnienie przebytej trwogi.

Czyta się to jakby bajkę z tysiąca i jednej nocy, lecz nieraz rzeczywistość przechodzi jaskrawością fantastyczne marzenia i najbardziej wybujałą grę wyobraźni, nie można więc nad tą opowieścią pogardliwie przechodzić do porządku. Kapucyni, obsługując fary włodzimierską, mieli własny klasztor, a w nim musiała być większa kaplica czy małe oratorjum, zwane kościołem przez prostą omyłkę. Dalej, po zamurowaniu regaljów w skrytce klasztornej trudno przypuścić, by tam je zostawiono na łasce losu i przypadku, zwłaszcza w kraju, gdzie prawo nie istniało, a despotyzm carów i samowola biurokracji panowały wszechwładnie. Musiano nad tak cennym dla narodu skarbem zorganizować jakiś tajny nadzór i stałą opiekę, a ta opieka ryzykowała szalenie, trzymając regalja na miejscu w sąsiedztwie policji. Wszak gdyby przyszła chętka lub potrzeba rozebrania zrujnowanych murów pod nowy budynek lub bodajby rozwalenia niepotrzebnych policjantom ceglanych ogrodzeń z grubymi słupami u bramy, odkryłoby kryjówkę. Jednakże głębsze wniknięcie w te czasy i stosunki trochę wyjaśnia niepojętą zrazu okoliczność, że mimo konfiskaty klasztoru przy końcu r. 1832 czekano całych lat dziesięć, aż w czasach rewizji i poszukiwań wypadło korzystać z krótkiej

przerwy i skrzynię z koronami usuwać w warunkach wprost rozpaczliwych. Widać przyjazd carskiego wysłannika zaskoczył wszystkich niespodziewanie. Otóż policję w Rosji, wtedy i zawsze, składały zwykle najpodlejsze odpadki kasty urzędniczej, cheiwe, sprzedajne i bez żadnych zasad — w najgorszym więc razie jeśli nie pieniędzmi, to pozorną przyjaźnią z obowiązkiem upiściem się, zawsze można było trafić do ludzi tego pokroju i zawsze wiedzieć o grożącym regaljom niebezpieczeństwie. Lokal w murach, zajmowanych stale przez policję, nie nasuwał podejrzeń i w ostatnim powstaniu najdłużej może przetrwały nie wykryte tajne drukarnie w bliskim sąsiedztwie policji warszawskiej. Z żandarmami byłaby sprawa stokroć trudniejsza nawet na tak zapadłym jak Włodzimierz partykularzu. Rzecz więc w zasadzie możliwa, choć się wydaje tak fantastyczna. Że sama rewizja istotnie miała miejsce, nie ulega wątpliwości. Słyszał o niej dawno historyk Marjan Dubiecki, sekretarz Rusi za dyktatury Trauguta. Sam miałem w ręku listy spólczesne z Włodzimierza, dokładnie tę rewizję opisujące, ale już dawno i szkoda, że po śmierci Ludwika Żytyńskiego nie umiano odszukać tej korespondencji. Ze w tych czasach rewizje, zwłaszcza polityczne, były rzeczą zwykłą, a nikt nie podejrzewał, czego szukano, nikt też nie zrobił kopji z tych papierów.

Ks. Wacław stawia pytanie: »Jakże Moskale dowiedzieli się o ukryciu insygnjów we Włodzimierzu?« I odpowiada: »W papierach pozostałych po arcybiskupie Cieciszewskim, zmarłym 1831 w Łucku, ktoś (nie wymieniamy imienia dla pewnych względów, zwłaszcza, że nie masz pewności, czy to on uczynił) znalazł wzmiankę, że insygnja królów polskich mają być w ukryciu zamurowane we Włodzimierzu w klasztorze. Nie było tam tylko wyjaśnienia, w którym mianowicie. Szukano w Dominikańskim — były one jednak w Kapucyńskim«. Zakonnikowi nie wypadło wymienić z nazwiska dostojnika Kościoła — wyręczył go w tem Walery Eliaz. Píše on o tych notatkach Cieciszowskiego: »Wpaść one miały w ręce następcy na biskupstwie Łuckiem, ks. Piwnickiego, który je rządowi rosyjskiemu udzielił. Jest to prawdopodobnem, bo wymieniony biskup był jednym »z najzasłużeńszych rządowych pasterzy, obsypany orderami za wyświadczone wrogom Kościoła usługi«, jak o nim pisze X. arcyb. Fełński w swoich pamiętnikach«.

Wiadomo, w jakich warunkach zmarł Kasper Kazimierz Ko-

lumna Cieciszowski, zrazu kanonik w Krakowie po zrzeczeniu się tej godności przez Wacława Sierakowskiego, potem biskup kijowski jeszcze w kościuszkowskim powstaniu, wreszcie arcybiskup mohylewski i metropolita. U schyłku życia ociemniał i darzył swem zaufaniem człowieka, co na nie nie zasługiwał. Był nim Michał Skierniewski, ex-pijar, a po sekularyzacji kanonik łucki, gorliwy w usługach caratu i silnie przez Rosjan protegowany. On to jakoby podsunął metropolicie niby dyspensę do podpisu, a istotnie list pasterski potępiający listopadowe powstanie. Wszyscy się wtedy usunęli od arcybiskupa, a on się nawet nie domyślał przyczyny tego. Gdy rzecz wykryto, Cieciszowski cofnął ów list nieszczęsny, lecz w późnej starości nie przeżył zgryzoty. W ostatnich dniach życia stracił zaufanie do wszystkich bez wyjątku i widocznie nie chciał powiedzieć, by odszukano i zniszczono notatkę o ukrytych koronach, a sam dla ślepoty nie mógł tego uczynić. Notatka zadziała się w papierach i dopiero po latach dziesięciu ją znaleziono, a w ślad za tem powędrowała kryjomo nad Nową.

Tymczasem w r. 1842 korony poszły szukać pewniejszego schronienia. Gdzie je wywieziono — głucho dotąd w druku.

Walery Eliaz w rozprawie o szczerbcu dowodzi, że miecz głośny z wystawy paryskiej, dziś w zbiorach petersburskiego Ermitażu, jest kopją po Sobieskim zrabowaną w Nieświeżu za czasów barskich, a prawdziwy, przechowywany wraz z insygnjami, czeka w ukryciu lepszej przyszłości. Mimochodem dobrze sprostować mylną, a brzydką wzmiankę Eliasza, jakoby hr. Poniatowski z Ukrainy, nabywszy miecz od handlarza, podarował go W. Ks. Michałowi, a ten złożył w cesarskim muzeum stolicy. Tak nie jest i akt sprzedaży rządowi rosyjskiemu paryskich zbiorów Bazylewskiego wymienia i szczerbiec. Porobiono już na nim zmiany i dodatki, tak, że się różni wyglądem od opisu i rysunku z r. 1792, jaki zrobił niezgrabnie Jacek Przybylski, dołączył do aktu lustracji Czackiego, i potem ta karta znalazła się w papierach Stanisława Augusta, a z kolei Marcina Badeniego i Pawła Popiela. Studium Eliasza nie znalazło uznania, a uczeni podzielili się w zdaniach, jedni uznali miecz Ermitażu za autentyczny, drudzy za podrobiony.

Walery Eliaz w swem dziełku napomknął z lekka o dalszych losach koron: »Po roku 1870 znova okazała się potrzeba

zmiany miejsca dla tych drogich nam zabytków i kufer z nimi przewieziono w inne strony, przyczem skonstatowano istnienie szczerbca obok koron i innych klejnotów koronnych«. I w rok potem w innej rozprawie (o koronach) powtarza: »(We Włodzimierzu) szukano koron, które zostały wówczas w nową skrytkę przewiezione. Wedle udzielonej mi przez O. Waclawa wiadomości po r. 1870 zaszła okoliczność, zmagająca do przewiezienia znowu w odmienne miejsce owych klejnotów królewskich, przyczem skonstatowano obok koron istność szczerbca«.

W czasie zjazdu historyków przed 20 laty zapytałem ks. Waclawa, ile prawdy kryje się w cytowanych ustępach z pracy Eliasza, i przytaczam odpowiedź. Zdarzenie — jak mi mówił — prawdziwe, lecz autor »umyślnie tu pobałamucił«. Było to nie zaraz po wojnie francusko-pruskiej, ale w r. 1882, 83 czy 84, bo ścisła data zatarła się w pamięci, a był to wynik nieprzewidzianego wypadku. Od początku czuwano nad całością skarbu w ten sposób, że zawsze trzy osoby wiedziały o miejscu ukrycia i wiedziały wzajemnie o sobie. Związani przysięgą milczeli jak groby i tylko na łożu śmierci przekazywali tajemnicę upatrzonej zawczasu osobistości wedle swego uznania. Rzecz prosta wymagano przy takim wyborze wypróbowanej prawości charakteru, siły woli, odwagi, zaparcia się, by pod naciskiem nie nigdy nie wyjawić. W razie nagłego zgonu jednego z wtajemniczonych, reszta za wspólną zgodą dobierała towarzysza. Otóż raz się zdarzyło, że jeden z nich, złamawszy przysięgę, rozpowiedział swej żonie o wszystkim — a choć ta umiała milczeć, lecz oboje nie zwrócili uwagi, że w pokoju bawiła się ich córeczka. Wbrew oczekiwaniu zapamiętała ona rozmowę rodziców, a podrósłszy, zaczęła się przechwalać przed koleżankami, iż coś wie o koronach. Doniosło się do przełożonej szkoły, potem do rodziców i skończyło śmiechem z pensjonarki, że się nie poznała na tak grubych żartach. Postanowiono jednak usunąć regalja gdzieindziej, otwarto tylko skrzynię dla przekonania się, czy korony leżą nieuszkodzone, ale nikt nie śmiał zdjąć nawet fotografii, by i tą drogą czegoś nie wykryto. Bliższych szczegółów O. Waclaw nie wiedział albo nie chciał mówić.

Wniknąwszy dobrze w treść tej odpowiedzi, dochodzi się do wniosku, że w istocie tylko w taki sposób dawała się urządzać trwała opieka nad regaljami. Że grać tu roli nie mogła zasada

dziedziczności, czy to w ciasnych ramach jednej rodziny, jak utrzymuje Kraszewski i poznański kalendarz Chociszewskiego, czy w szerszym obrębie jednego zakonu Kapucynów, jak tego chce Stasiak. Prawda, że wieść o tajemnicy, udzielanej jedni drugim kolejno na śmiertelnej pościeli w ciągu lat tylu, ma zakrój wysoce »romantyczny«, lecz w jakież inny sposób rzecz da się załatwić, skoro niepodobna zorganizować nadzoru jawnego, a do tajnego zmusza konieczność?

W czas jakiś po rozmowie z O. Waclawem dowiedziałem się o pewnych szczegółach, stwierdzających prawdziwość słyszanej relacji, a i tę rozmowę cytuję z kolei, podkreślając, że brakło mi sposobności sprawdzić ją i uzupełnić. Pani B. zaznaczyła, że cały ten wypadek z pensjonarką zna bardzo dokładnie; że miało to miejsce w jazłowieckim klasztorze Niepokalanek, a tą niby przełożoną to zakonnica, siostra Filomena, Nowowieyska z domu; że korony, złożone dotąd potajemnie w rękach rodziny Łobaczewskich w Lubelskiem, musiano wywieść gdzieindziej. Choć znów wygląda zagadkowo prywatna rodzina na straży tak doniosłych relikwii narodu, tu jednak chyba kasatą zakonów, a częstem zabieraniem kościołów da się objaśnić, ale uprzytomniwszy sobie warunki, w jakich ogół żył u nas za ponurych czasów Mikołaja w r. 1842, przyznać musimy, że regalja z Włodzimierza mogły tylko za Bug powędrować. Wówczas o ukryciu ich w innym miejscu tego miasta po zdjętym przed chwilą kordonie nie dawało się chyba pomyśleć, bo możliwe, że rewizja prędko się powtórzy raz drugi i trzeci jeszcze bezwzględniejsza, a wtedy jak tu ukryć świeże zamurowanie czy zakopanie przed czujnym okiem policji, wojska, żandarmów, żydów i szpiegów? Wówczas Rosjanie bali się jak ognia, by przez miedze granic nie przedostały się z emigracji jakie poglądy polityczne lub propaganda idei wywrotowych, i w tym celu tak silne straże i patrole chodziły wzdłuż granicznych pali, że o przedostaniu się z regaljami do bliskiej Galicji trudno było zamaryć. Wywozić zaś je w głąb Wołynia chyba także nie miało celu, bo rząd mógł poszukiwać w dość rozległym promieniu. Jedynie do Królestwa dawało się łatwo dojechać, bo czuwała nad Bugiem tylko straż celna, nieliczna, przekupna i puszczająca za drobną łapówką wszelką kontrabandę. Możliwe zatem, że korony wywiezione z Włodzimierza dalszych lat około 40-tu przeleżały w lubelskiem. Czy napewno tam były?

Trudno wyrokować w sprawie, gdzie skrętnie dla własnego bezpieczeństwa wszelki ślad zacierano, by w ręku wrogów nie zostawiać bodaj cienia dowodu.

Dokąd zaś powędrowały z Lubelskiego w r. 1882 czy 1884? Nie o tem nikt w druku nie wspomniał. Lecz w pierwszych dniach lipca 1920 r. na łamach prasy, zrazu warszawskiej, potem krakowskiej¹⁾ ukazały się mętne i w niejasny sposób podane wieści o wydobyciu z podziemi włodzimierskich przez kap. Żmigrodzkiego jakoby regaljów i przewiezieniu ich do Warszawy. Wkrótce potem ogłoszono dwa komunikaty, stojące na przeciwnych sobie biegunach, co tylko rzecz zaciemniły, zamiast ją wyświecić. W pierwszym z nich, Dr. Bączkowski, prałat łucko-żytomierski, twierdzi, że kap. Żmigrodzki z kimś innym, cywilnym, jako delegowani z ministerstwa spraw wojskowych, przybywszy 26 czerwca do Włodzimierza »wydobywać regalja« i zastrzegłszy sobie najściślejszą tajemnicę, szukali w lochach pod zakrytą kościelną i w nieobecności proboszcza, prałata Milanowskiego, znaleźli skrzynię 6⁴pudową. Gdy »zamknąwszy się szczelnie«, przeglądali jej zawartość, zaniepokojony prałat zwrócił się do komendanta placu p. Cieślińskiego i pułkownika Latour z prośbą o zarządzenie tajnego nadzoru nad skrzynią i jej eskortą w drodze do stolicy, co się też i stało. W 10 godzin po wywiezieniu skarbu nadjechał z Łucka 30 czerwca ks. biskup Dubowski, zawiadomiony telefonicznie przez osobę nieznaną, lecz opóźniony powolną jazdą najętymi końmi. Biskup, uprzedziwszy depeszą naczelnika państwa o tem, co zaszło, sam do Warszawy w tej sprawie pospieszył²⁾.

Niedługo potem wydział prasowy z ministerjum wojny zawiadomił, że »nowa wskazówka o miejscu ukrycia insygnjów królewskich« skłoniła p. ministra do poszukiwań w celu sprawdzenia »posiadanych w tej sprawie informacji«, lecz badania wysłanych PP. Gembarzewskiego i Żmigrodzkiego, dokonane »przy udziale ks. prałata Milanowskiego, nie dały wyników zadawających³⁾.

Zupełnie inaczej oświetla przebieg poszukiwań we Włodzimierzu, dziekan miejscowy, którego sprawozdanie, złożone ks. bisku-

¹⁾ Głos Narodu z 10 lipca 1920.

²⁾ Rzeczpospolita, wyd. warsz. por. Nr. 23 z 7 lipca 1920.

³⁾ Głos Narodu, 21 lipca.

powi pod d. 16 października 1920 za Nr. 256 przytaczamy *in extenso*.

»Stosownie do polecenia dnia 26 września 1920 za Nr. 1739 w kwestji wykopania skarbu w kościele włodzimierskim mam zaszczyt przedstawić Waszej Ekscelencji następujące: 1920 roku dnia 26 czerwca przybyli do Włodz. wołyn. prezes muzeum narodowego pan Gębarzewski z p. Żmigrodzkim, kapitanem saperów i po przedstawieniu mi dokumentów, wydanych przez ministra wojny, opowiedzieli mi cel przybycia t. j. odszukania skarbów narodowych, wywiezionych z Wawelu do Kapucynów włodzimierskich¹⁾, które zachowane zostały w podziemiach kościelnych, przytem dodali, że ostatnimi czasy pan minister wojny otrzymał szczegółowe wskazówki od pewnej osoby wtajemniczonej i stwierdzającej, że rzeczywiście we włodzimierskim kościele napewno są ukryte skarby narodowe z wskazaniem miejsca ukrytych skarbów. Opowiedziawszy mi pod wielkim sekretem, prosili o pozwolenie czynienia poszukiwań. Po zrobieniu planu rozpoczęli poszukiwania pod kościołem w grobowcach Kapucynów, ale najwidoczniej pomysłnych rezultatów nie otrzymali — byłem sam obecny od czasu do czasu. Dnia 30 czerwca zrobili otwór w sklepieniu przy wejściu do zakrytji, gdzie podobno dawniej znajdowała się kaplica Ojców Kapucynów i po paru godzinach poszukiwania najwidoczniej dały rezultaty pomysłne, gdyż poszukiwania zaprzestali. Z powodu mego niezdrówia ten dzień nie mogłem być obecnym przy czynieniu poszukiwań, a zresztą przez otwór w sklepieniu trudno dostawać się do lochu. Po wydostaniu z lochu, ci panowie zamknęli za sobą drzwi i nikogo nie wpuszczając, włożyli znalezione przedmioty do przyniesionej skrzyni. Po południu przyszli, by mnie pożegnać, wówczas zapytałem o rezultacie poszukiwań — na to p. Gębarzewski odpowiedział, że nic nie znaleźli. Po wyjściu owych panów poszedł służący kościelny i zawiadomił mnie, że skrzynia zapakowana stoi w zakrytji do wywiezienia — poszedłem natychmiast wraz z tymi panami i zapotrzebowałem pokazania mi zawartości skrzyni, na co p. Gębarzewski nie chciał zgodzić się. Zwróciłem

¹⁾ Ks. Milanowski popełnia tu niedokładność. Obecny kościół parafjalny zmurowany w 1836 r. nie jest kościołem po-kapucyńskim, który już w roku 1842 stał w ruinie.

do pana Żmigrodzkiego, by mi powiedział szczerze, czy znaleźli poszukiwane regalia królewskie. Na to mi odpowiedział: »Że znaleźliśmy, ale nie wszystko«. Wówczas podszedłem do p. Gębarzewskiego i kiedy mi powiedział, że nic nie znaleziono, zmuszony mu byłem odpowiedzieć wobec takiego zachowania się, że mu nie wierzę i zwątpilem w jego pełnomocnictwa, a tymczasem przyszło dwóch żołnierzy z karabinami i pod strażą takowych skrzynię załadowano i wyniesiono z zakrystji. Wobec takiego zachowania się, p. Gębarzewskiego z p. Żmigrodzkim, natychmiast udałem się do komendy miasta, opowiedziałem o tym fackie, domagałem zrobienia rewizji zawartości skrzyni, wyniesionej z zakrystji kościoła, i spisania o tem akcie. Komenda na to mi odpowiedziała, że nie może tego uczynić, a przeciwnie okazać im wszelką pomoc, potrzebną im, i o przybyciu tych panów do Włodzimierza mają zawiadomienie. Wiedząc, że nic nie uzyskam w komendzie, przedstawiłem, że to są skarby narodowe — że takie zachowanie się owych panów wzbudza podejrzenie i naraża skarb narodowy, czy nie uważałaby komenda za możliwe posłania za nimi sekretnie do Warszawy, by skarby odszukane doszły w całości do miejsca. Wówczas komenda miasta po porozumieniu się i przedstawieniu całej sprawy naczelnikowi garnizonu, który posłał wraz z owymi panami t. j. Gębarzewskim i Żmigrodzkim oficera z 2-ma żołnierzami, by sekretnie pilnować odszukanych skarbów i wiozących takowe do Warszawy. Po powrocie i spełnieniu swej misji przez owego oficera delegowanego, zawiadomiono mnie, że rzeczy w całości zostały dostarczone do Warszawy. Przytem dodaję, że po pewnym czasie wobec rozgłosu odnalezienia skarbu w kościele włodzimierskim okazała się w gazetach korespondencja z ministerjum wojny, opisująca o wydelegowaniu przez pana ministra p. Gębarzewskiego z dodatkiem kapitana saperów Żmigrodzkiego i ci, za zgodą prałata Milanowskiego i przy jego obecności, czynili poszukiwania i rezultaty okazały się niezadawalniające. Muszę zaprzeczyć, że obecności mojej nie było z powodu mojego niezdrowia — następnie rezultaty niezadawalniające to jeszcze nie żadne, i z tego widocznem jest, że skarby zostały wykopane. Proboszcz włodzimierski, prałat ks. Milanowski«.

Wynika z tego aktu, że relacje ks. Wacława nie były z fantazji wysnute, lecz że regalia istotnie wywieziono z Włodzi-

mierza, a zapewne przybyły one z Lubelskiego w latach 1882 do 1884 w nadziei chyba, że się tam ich najmniej można było spodziewać, więc znajdują schronienie względnie jeszcze bezpieczne.

Lecz znowu spotykamy się z zaprzeczeniem rządowem. Na interpelację, wniesioną w sejmie, odpowiedziało ministerstwo spraw wojskowych, że wysłani do Włodzimierza pp. Gębarzewski i Żmigrodzki, nie znalazłszy poszukiwanych regaliów, symulowali ich znalezienie i wywiezienie, by innych amatorów od dalszych poszukiwań odstręczyć. Czy to objaśnienie można brać na serio i zwłaszcza, czy zgadza się ono ze szczegółami sprawozdania ks. Milanowskiego? Stoimy zatem ciągle wobec sfinksowej zagadki.

Wszystkie te komunikaty rzucają dziwne światło na cały tok wypadku, a zawartość skrzyni okryły zbite mroki i tajemnica nieprzenikniona. Dziwnem także jest żądanie sekretu ze strony przysłanych do zabrania koron, gdy dziś rząd ma prawo i obowiązek wywieźć z zagrożonych okolic najcenniejsze dla narodu relikwie przeszłości, lecz zupełnie jawnie, nie kryjąc się w cieniu i nie potrzebując otaczać się tajemniczością jak za dni niewoli. — Dziwnem, że postępowano tak bezceremonialnie, z pominięciem form nakazanych prostą przyzwoitością, bez świadków i bez protokołu. Prałat Milanowski zawinił, że zamiast zaraz się zwrócić do komendanta z żądaniem sprawdzenia tożsamości osób i wiarygodności ich dokumentów, a do swej władzy duchownej po wskazówkę, jak się zachować w danym wypadku — zamiast postawienia kwestji jasno, by obowiązkowo spisano akt przy świadkach — tak się od razu zgodził na wszystko, dozwolił rozwałać mury kościelne i zabierać ukryte w podziemiach rzeczy. Skrzynię bowiem niewątpliwie wydobyto z lochów i jej zawartość poszła do stolicy, jeśli zaś wedle rządowego komunikatu nie było tam regalii, więc co się mieściło? — wszak pustej paki nie ukrywano by w podziemiach, a w nowe skrzynki nie sypano by gruzów z rozbitego lochu. Ogół ma prawo domagać się wieści ścisłych i rzeczowych, opartych nie na głośnym twierdzeniu, lecz na zbadaniu sprawy sądownem, jawnem, i wszechstronnem, bo jeśli to insygnia, to własność całego narodu, a jeśli nie insygnia, to własność innego rodzaju, kościelna czy prywatna, nie podlegająca tajnej konfiskacie. Zaniepokojona opinja publiczna jak kaźden, dla którego przeszłość jest swoją i drogą, a korony nie sta-

nowią tylko określonej ilości szlachetnego kruszcu i kamieni, żąda wyjaśnień, ale rzeczowych i wyczerpujących.

Skoro jednak skrzynia, wywieziona z podziemi kościelnych, kryła w sobie isiotnie regalia polskie, to wobec napływającej powrotnej, fali bolszewizmu, był czas najwyższy myśleć o ratunku koron. — Na Rusi w okresie wojny wszechświatowej, zwłaszcza zaś po niej, nastrój ludu zmieniał się do gruntu. Przeżywało się czasy grozy i nieszczęść, zaczawszy od chwili, gdy przed najściem Austrii masowo usuwano ludność z morza płomieni — gdy potem ta ludność, skłonna zawsze, by stare krzywdy urojone czy prawdziwe mścić nożem i pożogą, wróciła na zgliszcza struta do reszty jadem komunizmu — gdy się w końcu rozpętały bezkarnie najpodlejsze ludzkiej duszy instynkty i na przestrzeniach od Dniepru do Bugu, z jednego krańca kraju po drugi, zahuczał ryk społecznej burzy wśród krwi oparów i trzasku płomieni. Na tych przestworach nie ostał się nietknięty żaden niemal dwór lub pałac, złupiono wiele świątyń, rabując nawet groby w podziemiach. — Słowem wracały dni ponure głębokiego średniowiecza, czasy wędrówek ludów w pożarnych łunach i pustyń dymiących na szlakach Atylli.

Niepodobna jednak przypuścić takiego tragizmu, byśmy w ciągu lat 126, pod uciskiem odwiecznych wrogów, wśród tępienia polskości, potrafili ukryć i przechować narodowe relikwie, a potem mieli je zatracić po odzyskaniu niepodległego bytu — pod swoim już rządem. Należy ufać, że z odmetów potopu i rozbitcia wypłyną w swoim czasie i korony i szczyrbieci.¹⁾

¹⁾ Odczyt wygłoszony 8 i 9 X. 1920 na posiedzeniu Tow. numizmatycznego w Krakowie. z dodaniem wzmianek o dokumentach później ogłoszonych.



15
Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317074



000-317074-00-0



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317074



000-317074-00-0